

alarm dla Kościoła

Nowa reformacja?

Paweł Milcarek
Tomasz Rowiński



DEMART

Spis treści

Wstęp. Dlaczego bijemy na alarm?	5
Dyktatura relatywizmu. Co z wolnością bez prawdy?	17
Mentalna kolonizacja Kościoła i apostazja narodów	37
Kapitulacja przed muzułmanami. Czy Zachód będzie islamski?	61
Hybrydowa inwazja.	
Podmiana pobożności – katolickiej na zielonoświątkową	75
Zbawić czy zabawić? Gdy liturgia staje się show.	99
Milczenie o wychowaniu. Czy Kościół przegrał edukację?	123
Od „lawendowej mafii” do homoherecji.	
Rewolucja przeciw katolickiej etyce płci.	139
Turbopapiestwo. Czy Papież może wszystko?	161
Kruszenie małżeństwa. Czy grzech przestaje być grzechem?	175
Czas na radykalizm prawdy. Co się dzieje z księżmi?	197
Płyniczna, bezguskie i zarozumiałość. Czas kiepskich?	221
Pejzaż z grzęzawiskami. Czy ojczyzna Jana Pawła II jest bezpieczna?	241
Pan zwycięży! Dziedzictwo Benedykta XVI.	261
Kościół rozdzierany sporem. Zerwanie czy ciągłość?	279
Zakończenie	297
ANEKS. Kardynał Gerhard Müller. Manifest wiary	303

Wstęp

Dlaczego bijemy na alarm?

Czytelnika, który otwiera tę książkę, może interesować, dlaczego postanowiliśmy ją przygotować jako *Alarm dla Kościoła*. Dlaczego właśnie teraz? Dlaczego robimy to w czasach, gdy wciąż tyle jest w świecie entuzjazmu związanego z pontyfikatem Papieża Franciszka?

Rzeczywiście, prace nad tą książką kończymy, gdy jest jeszcze bardzo świeża pamięć Światowych Dni Młodzieży w Panamie. W mediach pełno było uśmiechniętych twarzy, ludzie tańczyli, śpiewali, radośnie przeżywając swoje chrześcijaństwo. Światowe Dni Młodzieży dla wielu osób na świecie są znakiem pogodnego Kościoła katolickiego, znakiem przekazywanym całemu światu jako światło nadziei, „wiosny Kościoła”. Jednak gdy to świętowanie się kończy, wszyscy – prędzej czy później – wracamy do codziennego życia Kościoła, które jest życiem najważniejszym.

Gdzie jest to codzienne życie? Ono toczy się tam, gdzie odprawiana jest Msza święta, gdzie słuchanie Słowa Bożego i nasza obecność w Ofierze Chrystusa stają się najważniejszą lekcją wiary; tam, gdzie ta lekcja przenosi się do osobistego postanowienia o podążaniu za Chrystusem na drodze swojego życia; tam, gdzie z kolei ślady życia chrześcijańskiego wielu pokoleń układają się w całą cywilizację chrześcijańską, z jej obyczajami przypominającymi o obecności Boga w ludzkim życiu i śmierci. To najważniejsze, codzienne życie Kościoła toczy się w naszych społecznościach lokalnych, parafiach, klasztorach, domach.

I właśnie do tego codziennego życia Kościoła przenikają obecnie coraz bardziej niepokojące pomruki, wstrząsy i obawy. Niestety, nie są to jedynie zwykłe napięcia między Kościołem i światem. Teraz dzieje się to w samym Kościele, wśród ludzi przyznających się do wiary, a zgorszenia i niejasności zdają się przychodzić nie tylko z zewnątrz Kościoła. Jest bowiem tak jak to kiedyś podsumował Benedykt XVI w znanej wypowiedzi w drodze do Fatimy z roku 2010: „największe prześladowanie Kościoła nie przychodzi od jego nieprzyjaciół zewnętrznych, lecz rodzi się z grzechu w Kościele”. Chodzi więc o niewiarę, zepsucie, obojętność, które w różny sposób zaczynają o sobie dawać znać w wielkiej społeczności Kościoła i naszych mniejszych społecznościach kościelnych.

6 Pomyślmy tylko o ostatnich kilkunastu miesiącach – nastąpiło w nich jakieś groźne przyspieszenie autodestrukcji życia katolickiego. Apostazja Irlandii: przykładowy niegdyś katolicki naród podejmuje w referendum z maja 2018 roku decyzję o uchyleniu zakazu zabijania nienarodzonych. Jednym z powodów była niewątpliwie kompromitacja Kościoła przez pedofilskie nadużycia duchownych. Te ostatnie

to znacznie szerszy problem, niż się kiedyś wydawało – przy okazji spraw arcybiskupa waszyngtońskiego Theodore’a McCarricka i chilijskiego biskupa Juana Barrosa Madrida okazało się, że nawet najwyższe władze Kościoła, z Papieżem włącznie, zdają się latami tolerować pedofilskie i homoseksualne perwersje lub są bezsilne wobec nadużyć. Dziś już nikomu nie wystarczą deklaracje o woli uleczenia tej gnijącej rany. W liście opublikowanym w sierpniu 2018 roku były nuncjusz papieski w USA arcybiskup Carlo Maria Viganò stawia Franciszkowi wiele ciężkich zarzutów, a nawet wzywa do ustąpienia. Zarzuca nie tylko zaniedbania, ale wprost popieranie lobby homoseksualnego. List wywołuje potężne kontrowersje wewnętrzne w Kościele – i rzeczą nową jest to, że wielu ważnych ludzi Kościoła uznaje zarzuty za co najmniej wymagające zbadania. Papież jednak odmawia odpowiedzi w tej sprawie, zostawia ją dziennikarzom. Trwa i wzmacnia się niebywała kontrowersja „za” Franciszkiem i „przeciw” niemu. Dotyczy sposobu postępowania wobec pedofilów, lecz jest zasilana także przez inną bardzo niepokojącą niewiadomą: czy Papież uczestniczy w planie wielkiej zmiany nauki moralnej Kościoła? Czy jest zainteresowany stopniowym, krok po kroku przekształcaniem na przykład katolickiego wykluczenia homoseksualizmu jako sprzecznego z wolą Boga – w rodzaj akceptacji „bez osądzania”? Tuż obok tych pytań obecna jest kontrowersja dotycząca dopuszczenia do Komunii świętej osób żyjących w stanie grzechu: w związku z papieską adhortacją *Amoris laetitia* toczy się od roku 2016 wielka dyskusja, co tak naprawdę sądzi w tej sprawie Franciszek. A Franciszek pozwala, by różni domyślali się różnych odpowiedzi, sprzecznych ze sobą – ale jednocześnie wspiera na przykład biskupów argentyńskich, którzy uznali, że mogą udzielać Komunii świętej niektórym

osobom współżyjącym seksualnie poza swoim ważnie zawartym małżeństwem. Nie brak teologów, którzy w związku z tym gratulują Papieżowi otwarcia nowej epoki w nauce Kościoła. Na precyzyjne pytania czterech kardynałów (tak zwane dubia) dotyczące treści nauczania Franciszka, zadane w roku 2016, Papież nie udzielił natomiast nadal żadnej odpowiedzi. Znowu bardzo blisko tego znajduje się inny gorący spór roku 2018: o to, czy można udzielać Komunii świętej osobom należącym do wspólnot chrześcijańskich poza Kościołem katolickim, niemających katolickiej wiary w Eucharystię. Dwie grupy biskupów niemieckich wystąpiły w tej sprawie ze sprzecznymi stanowiskami. Papież uniknął rozstrzygania tej kwestii, dając wrażenie, że każdy może pozostać przy swoim zdaniu. Dodajmy do tego jeszcze inne fronty: porozumienie Stolicy Apostolskiej z komunistycznymi Chinami, w wyniku którego Rzym uznaje dyrygowanie katolikami chińskimi przez współpracowników reżimu, oraz ukoronowanie dialogu z islamem w postaci podpisania przez Papieża deklaracji mówiącej między innymi, że pluralizm religii jest chciany przez Boga.

To tylko ostatnie kilkanaście miesięcy. Z perspektywy Polski wiele z tych spraw dzieje się trochę w oddali, na szczytach władzy kościelnej lub w innych rzeczywistościach społeczno-kulturowych. Ale natłok tych dziwnych zdarzeń dociera poprzez media, przytłacza, dezorientuje. Po tym, jak najpierw pocieszano się, że na przykład wiele „wieści z Rzymu” to jakieś przekręcenia lub nieszczęśliwe sformułowania Franciszka, nic więcej – obecnie już mało kto tak to widzi. Powstaje i rządzi podejrzenie, że słowa i gesty układają się w całość, której nie zdradza się przed czasem, by nie obudzić silnych protestów. Logika łatwego pocieszania się i logika podejrzeń nie są dobrą odpowiedzią, ale ujawniają się naturalnie w chwilach dezorientacji.

To paradoks: pontyfikat Papieża Franciszka, którego początek dał Kościołowi wiele nadziei i wciąż jeszcze przywołuje dobre emocje u niejednego katolika – a i u wielu pozostających poza Kościołem – stał się znakiem jego licznych bolączek. Bądźmy bardziej precyzyjni, a skoro chrześcijańska radość nie jest po prostu wesołością, powiedzmy: trudno dziś o pogodę ducha w sprawach naszej Matki-Kościoła. Właśnie dlatego napisaliśmy, z naszymi ekspertami, *Alarm dla Kościoła*, ponieważ żyjemy w czasach poważnego kryzysu katolickiej wiary, moralności, kultury, duszpasterstwa...

Dość często można usłyszeć nieco magiczne, uspokajające zaklęcie, że przecież Kościół zawsze był w kryzysie, że trudno pokazać czasy, w których nie dotykałyby go jakieś bolączki. Nie dajmy się jednak zwieść. Po pierwsze, żadnego kryzysu nie można lekceważyć, ponieważ nawet drobna choroba zaniedbana może zakazać śmiertelnie cały organizm. Już sama świadomość, że w Kościele dzieje się źle, powinna na nas, wierzących, działać jak sole trzeźwiące. Po drugie, nie ulegajmy też innemu magicznemu złudzeniu, jakim jest częste powtarzanie ewangelicznej frazy mówiącej, że bramy piekielne nie przemogą Kościoła. Tak jakby samo przypominanie tych słów mogło powstrzymać realne zło dziejące się w Winnicy Pańskiej. Powtórzmy i inne słowa Pana Jezusa – kiedy pyta poważnie, czy aby na pewno, gdy wróci na ziemię, zostanie tu jeszcze wiara. Z pewnością nie chodzi mu o jakąkolwiek wiara, ale wiara, którą przechowuje prawdziwa religia, obecna w Kościele katolickim. Są to słowa, które nie pozwalają nam zapadać w drzemkę ani popadać w zadowolenie.

Powaga aktualnego kryzysu Kościoła nie bierze się tylko z tego, że są w nim ohyda moralnego brudu, gorszące spory na samym szczycie, rozmywanie doktryny, brak miłości prawdy, nadużycia władzy,

zeświecczenie. To wszystko już bywało, czasami w stopniu przerażającym – i Kościół zawsze potrafił się z tego otrząsnąć, dzięki bezkompromisowości świętych i roztropności pasterzy. Dzisiaj jednak dochodzi do tego jedna ważna okoliczność: obecny kryzys chrześcijaństwa katolickiego rozgrywa się w świecie, który nie tyle chrześcijaństwa nie zna, co raczej traktuje je jako coś, co może dowolnie modelować, odrzucając to, co mu nie odpowiada. W takim świecie zarządzanym przez postchrześcijańskie elity zadanie urzędu nauczycielskiego Kościoła jest szczególnie ważne, gdyż musi on odróżniać to, co chrześcijańskie, od tego, co chrześcijańskopodobne, lecz z chrześcijaństwem sprzeczne. Równocześnie Kościół epoki postchrześcijaństwa znajduje już wyjątkowo rzadko prawdziwych sojuszników wśród wielkich tego świata – spotyka tam albo fałszywych przyjaciół, którzy chcą go zutilizować, albo agresywnych przeciwników, którzy walczą z nim przez propagandę i instrumenty prawne. Im bardziej słabnie wiara w Kościele, tym bardziej jest on rozgrywany przez jednych i drugich. A to rozgrywanie po prostu wzmacnia proces dezorientacji i wysychania wiary u zwykłych ludzi.

Zatem to już nie czasy, kiedy problemy Kościoła budziły zgorszenie i konflikty, lecz pojawiały się we w miarę bezpiecznej przestrzeni cywilizacji chrześcijańskiej. Dziś każda słabość Kościoła jest swoistym przedstawieniem autokompromitacji na oczach nierozumiejącego i niechętnego świata. Małą częścią problemu jest kompromitacja ludzi i instytucji – ten spektakl kompromitacji pociąga za sobą kompromitację dzieła zbawienia, jakie stało się dzięki Chrystusowi. A wtedy, gdy Kościół się kompromituje przez sprzeniewierzenie się swoim zasadom, bierze na siebie odpowiedzialność za utratę zbawienia dla zgorszonych, porzucających go dusz.

W podtytule naszego *Alarmu dla Kościoła* zadajemy pytanie: nowa reformacja? Oczywiście każde porównanie współczesności z jakimiś wydarzeniami sprzed wieków kuleje. Chodzi nam jednak o format kwestii: chcemy powiedzieć, że obecny kryzys chrześcijaństwa rodzi się z podobnie głębokiego zamieszania i zgorzenia i obejmuje na raz chyba wszystkie kluczowe dziedziny życia, a nie tylko jakąś jedną prawdę wiary lub jedną sferę moralności. Podobnie jak kiedyś reformacja, kryzys dzisiejszy eksploduje przy okazji różnych konkretnych skandali moralnych, ale nie ogranicza się do nich. Zmierza do rzekomej „naprawy” przez pokawałkowanie chrześcijaństwa i przeciwstawienie sobie jego różnych fragmentów. Odnosząc się do dziedzictwa reformacji protestanckiej, wielki pisarz Gilbert K. Chesterton mówił o powstaniu „oszałałych cnót”, czyli dóbr, które przestają się zachowywać jak części organizmu, a zaczynają działać w nim niczym nowotwory. I tak – przykładowo – kiedyś tolerancja, a dziś i miłosierdzie, stają się „bóstwami” unieważniającymi wymagania prawdy czy sprawiedliwości. Proces ten od dawna z poziomu idei zszedł na poziom ludzkich reakcji i ocen. Wraz z powstawaniem takich „bóstw” kawałkuje się chrześcijaństwo. O to właśnie chodzi w naszym pytaniu o „nową reformację”. Czy jest z tej sytuacji jakieś wyjście? Wydaje się, że nie ma dla Kościoła innego sposobu niż nawrócenie, niż powrót do „pierwotnej gorliwości”, a tymczasem sprawy zmierzają raczej w dokładnie przeciwnym kierunku. Rzym wydaje się rozpolitykowany do granic możliwości, to znaczy zajmuje się nieustannie swoimi wewnętrznymi problemami, finansami, przepychankami między frakcjami. Różne lokalne episkopaty szukają okazji, by porzucić katolickie nauczanie, którego nie chce im się głosić wiernym, ponieważ jest to dla nich niewygodne, nieopłacalne.

W naszej książce przyglądamy się więc rozmaitym sprawom Kościoła powszechnego, które szczególnie dziś muszą budzić niepokój i skłaniać do reakcji. Powiedzenie mówi, że reakcja jest objawem życia, zatem reakcja wierzących – również takich jak autorzy tej książki – jest znakiem żywotności ich wyboru podążania za Chrystusem w Kościele, nawet jeśli czują się rozumem zmuszeni napisać lub zanotować wiele gorzkich słów o posługujących w Kościele ludziach i dziejących się w nim sprawach.

W każdym rozdziale rozmawiamy z kimś, kto w danej sprawie wypowiadał się ostatnio w duchu ostrzeżenia lub właśnie alarmu, sygnalizując, że w tej czy innej dziedzinie powstaje zagrożenie wymagające uwagi i reakcji. Nasi rozmówcy są specjalistami w różnych dziedzinach, różny jest ich styl wypowiedzi, ton. Różne są zapewne też i stopień, i kierunek ich krytycyzmu w widzeniu spraw Kościoła dzisiaj. Połączyło ich to, że zgodzili się odpowiadać na nasze pytania i wystąpić w tej książce. Jesteśmy im wdzięczni w imieniu swoim i czytelników.

Na samym szczycie listy problemów, które podejmujemy w książce, znajdują się ciężkie grzechy duchowieństwa. To zresztą teraz temat najbardziej poruszający i najczęściej obecny w mediach, powracający w rozmowach z niejednym ekspertem. Nie obyło się w naszej książce bez tematu znaczenia i wpływu środowisk homoseksualnych w Kościele i idącej wraz z nimi rewolucji seksualnej wywierającej presję na moralne nauczanie Kościoła, także to, które pochodzi bezpośrednio od Chrystusa Pana.

Ze względu na wyjątkową i niezastąpioną pozycję papieża w Kościele wiele naszych pytań zmierza również do kwestii postępowania Papieża Franciszka. Jedna z rozmów jest więc naszym własnym

namysłem nad tym, dlaczego przy całym szacunku względem Ojca Świętego patrzymy dziś na Franciszka bardziej jak na ojca, który zaskakuje decyzjami i wymaga ich przyjęcia w ciemno, niż jak na ojca, który „wiernie strzeże wiary katolickiej i apostołskiej”. Wydaje się, że szczerości w tej sprawie potrzeba nam wszystkim.

Osobne rozmowy poświęciliśmy kontrowersjom w dziedzinie doktryny i w ogóle myśli. Jedna z nich dotyczy tego, co się dzieje wokół *Amoris laetitia* papieża Franciszka. W szerszym planie – zastanawiamy się nad relatywizmem, który swego czasu kardynał Joseph Ratzinger nazwał „centralnym problemem wiary dzisiaj”, niestety obecnym w myśleniu także hierarchów i teologów. Jedną z twarzy relatywizmu jest wciąż obecne w myśleniu wielu ludzi Kościoła dzielenie go na przedsoborowy i posoborowy – czym też zajęliśmy się osobno. Myślenie to zdaje się usprawiedliwiać każdą ekstrawagancję doktrynalną i dyscyplinarną jako element dostosowania Kościoła do nowych czasów. W efekcie jednak odrzuca się bogactwo duchowości, myśli i praktyk, które wychowały tak wielu świętych i stanowią sam rdzeń katolicyzacji.

Blisko problemu relatywizmu znajduje się zjawisko mentalnej kolonizacji Kościoła, czyli dominacji w jego wnętrzu takich sposobów myślenia i działania, których cel już nie wiąże się ze zbawczym powołaniem i misją nadaną mu przez Chrystusa, ale z polityką czy pragmatycznym zarządzaniem instytucją. Skoro, by dostosować się do nowych czasów, odrzuca się tak wiele z treści tradycyjnego nauczania, na ich miejsce z dużą łatwością wchodzi ideologie, podejście technokratyczne, psychologizowanie, socjologia, których zasady pozostają często w sprzeczności z chrześcijaństwem.

Niestety, do tej adaptacji względem nowoczesnego relatywizmu zachodniego trzeba dodać wystraszoną uległość ludzi Kościoła wobec islamskiego dżihadu.

Na drugim biegunie w stosunku do obojętności i relatywizmu zdaje się mieścić prąd gorliwości religijnej o charakterze zielonoświątkowym. Czy jednak ta pentekostalizacja chrześcijaństwa rzeczywiście wprowadza w bogactwo duchowości chrześcijańskiej, w umiłowanie prawdy, we właściwą katolicyzmowi harmonię wiary i rozumu?

Na szlaku naszych poszukiwań wypadło nam również pytać o to, jak wielką rolę odgrywają w dzisiejszym kryzysie trudności zupełnie prozaiczne: nieuctwo, fascynacja władzą, ukrywanie się za pozorami... Dlaczego tak wiele znaczących osób w Kościele jest gotowych grać w tę grę?

Niektóre z kwestii wyliczanych wyżej dotyczą wprost sytuacji Kościoła w Polsce. Pytaliśmy jednak również o te, które są mocniej związane z naszą polską specyfiką, wynikającą zarówno z dziejów najnowszych, jak i z pozycji Kościoła w społeczeństwie, które – zwłaszcza na tle innych krajów europejskich – wykazuje się wyjątkową spójnością wyznaniową i gorliwością religijną.

Problemy relatywizmu i kolonizacji ideologicznej widać jak w soczewce, w tym, co dzieje się ze szkołą katolicką i w ogóle z katolickim widzeniem edukacji. Zaniedbanie na tym terenie jest bombą z opóźnionym zapłonem. Sygnalizujemy to, mając na względzie paradoks katolickiej Polski – kraju o wyjątkowo słabej sieci edukacji katolickiej.

O ile słabość w dziedzinie szkoły i edukacji owocuje brakami w formacji następnych pokoleń, o tyle usterki i niedomagania w liturgii są często jak trucizna, która zabija dopiero, gdy po dłuższym czasie odłoży się jej więcej w organizmie. Przywykamy do trucizn, a troskę

o liturgię traktuje się często jako luksus dla pięknoduchów. Wprowadzamy jednak tu sprawę liturgii – za Benedyktem XVI – jako dziedzinę, w której decydują się siła duchowa Kościoła, moc wiary. Liturgia odnawia w nas chrześcijaństwo, powinna zatem być przedmiotem najwyższej czci i dbałości.

A skoro wspomnieliśmy o poprzedniku Papieża Franciszka, warto wyjaśnić, że jeden z ostatnich rozdziałów książki – o dziedzictwie Benedykta XVI – traktujemy jako swoiste przesłanie na czas kryzysu. Nie dlatego, byśmy zachęcali do wybierania sobie ulubionych papieży, ale dlatego, że jesteśmy przekonani o niewykorzystanej mocy zawartej w spuściźnie tego niedocenionego pontyfikatu.

Chcemy wywołać alarm, chcemy poruszyć katolickie serca, pokazać, że sprawy mają się naprawdę źle i świadomość tego jest pierwszym krokiem do zmiany. W każdym rozdziale staramy się zaproponować jakieś wyjście z sytuacji, jakąś perspektywę pozytywną, choćby i niewielkie światło, które zawsze nam pozostaje w łasce Pana. Kościół szczególnie teraz potrzebuje wiernych przywiązanych do niego głęboką miłością, a jednocześnie znających swoją wiarę, tak by mogła się ona opierać przychodzącym z różnych stron pokusom zwątpienia. Te dobra są dziś niezwykle ważne w budowaniu zdrowego katolickiego nonkonformizmu.

Dyktatura relatywizmu.

Co z wolnością bez prawdy?

Kardynał Joseph Ratzinger w swoich analizach dotyczących relatywizmu zwracał uwagę, że jest on zjawiskiem, które z całą swoją siłą weszło do kultury świata zachodniego razem ze zmierzchem marksizmu. Marksizmu, który – przypomnijmy – był wiarą polityczną nie tylko w państwach pozostających w sowieckiej strefie wpływu, lecz także wśród szerokich kręgów intelektualnych na Zachodzie oraz wśród mas ludowych w Ameryce Południowej. Zresztą wiara w ideologię komunistyczną była silniejsza właśnie tam, gdzie nie tworzyła ona bezpośrednio reżimu politycznego. Marksizm przeniknął też w wielu miejscach do Kościoła, choćby pod postacią teologii wyzwolenia, która często przechodziła w praktykę „wyzwolenia”, czyli zbrojną działalność rewolucyjną lub polityczną, prowadzoną także przez księży. Teologia wyzwolenia, czy szerzej: marksizm w teologii, oferował praktyczne rozwiązanie problemów nierówności ekonomicznych, wykluczenia ubogich, a w kręgach intelektualnych obiecywał

„wyzwolenie” z dotychczasowego sposobu myślenia, kształtującego tradycję Kościoła. Zawsze jednak – co często nie było dostrzegane – upolityczniał katolicyzm. Marksizm bowiem na swój własny sposób dzielił całą ludzkość na zbawioną i potępioną, na tych, którym należał się skok do królestwa wolności, oraz tych, których czekał śmietnik historii. Uniwersalna misja Kościoła, w której zbawienie nie ma się dokonać ludzkimi siłami, a sprawiedliwość ma być realizowana bez rewolucyjnego terroru, była w sposób jawny zagrożona.

Upadek marksizmu – jak pisał Ratzinger – pociągnął za sobą przekształcenia w świecie ideologii. W miejscu marksizmu i komunizmu pojawił się liberalny nihilizm, przebijający się w różne szaty, od centrystycznych po skrajnie lewicowe. Jego fundamentem stał się relatywizm, który w polityce zaczęto traktować jako podstawową wartość demokracji. Przynajmniej na poziomie przekonywania opinii publicznej był on odejściem od XX-wiecznej „polityki wiary”, czyli totalizującego przekonania o możliwości zbawienia ludzkości za pomocą ideologii politycznych. Jak widać, „polityka wiary” nie miała nic wspólnego z wiarą chrześcijańską. Relatywizm był obietnicą różnorodności i pluralizmu w zastępstwie kolektywizmu, który rozczarował. To prawdopodobnie jeden z powodów, dla których tak wielu postkomunistów stało się wiernymi wyznawcami i obrońcami państwa liberalnego, a marksizujących teologów – myślicielami religijnego liberalizmu. Nie stało się to tylko z powodu zwykłego oportunistycznego, ale właśnie w wyniku procesu rozczarowania światem „wiary”, z którego wyszli.

„Świat” ten budował swoją wiarygodność na przekonaniu, że razem z rozwojem filozofii materialistycznej odkryta została na sposób naukowy zasada rządząca przebiegiem historii. Ponieważ jednak

marksizm stworzył w swojej praktyce politycznej głównie instytucje terroru i brak wolności, musiał go zastąpić inny system myślowy. Nadawał się do tego znakomicie właśnie liberalizm, który przynajmniej w teorii nie zakłada żadnego celu społecznego ani też wartościowania sposobów życia, jakie wybierają ludzie. W teorii liberalnej wszystko, co ludzie zechcą praktykować, jest po prostu częścią ludzkiej natury i jest dobre, chyba że zagraża wolności innej jednostki. O tę granicę toczą się jednak nieskończone spory w nowoczesnych społeczeństwach.

Relatywizm w łonie Kościoła i chrześcijaństwa oznacza zaś – podobnie jak w marksizmie – zerwanie praktycznych i społecznych konsekwencji, które wynikają z wiary. To jednak już kolejny krok. Pierwszy związany jest z traktowaniem treści wiary jak mity. Chrześcijańska wizja zbawienia traci w tej sytuacji charakter wyjątkowej obietnicy przyniesionej przez prawdziwego Boga, ale staje się dla samych chrześcijan jedną z wielu tożsamości w świecie różnorodności religijnej. Relatywistyczna utrata wiary – znów podobnie jak w marksizmie – skłania religijnie zaangażowanych ludzi do myślenia w dwójaki sposób. Albo patrzą oni na Kościół przez pryzmat idei politycznych: chcą nieustannie zmieniać Kościół według idei, które im się w świecie podobają. Przykładem może być przekonanie, że Kościół nie będzie do zaakceptowania tak długo, jak długo kobiety nie będą mogły być wyświęcane na księży. Pewna współczesna idea polityczna staje się tu normą religijną wyższą od autorytetu Pisma i Tradycji, inspirowanych przez Ducha Świętego. Albo też – to ten drugi tok myślenia – całkowicie lekceważą znaczenie instytucji Kościoła, istniejącej przecież z Bożego ustanowienia, i zanurzają się w morzu indywidualistycznych przeżyć i wyobrażeń religijnych.

O tym, czy rozmywanie prawdy jest dziś głównym problemem w świecie i Kościele, rozmawiamy z **Ojcem Dariuszem Kowalczykiem**, jezuitą, teologiem z Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, a także cenionym publicystą.

Czy mamy w Kościele problem z relatywizmem dotyczącym wiary?

O. Dariusz Kowalczyk: Mamy dwa problemy. A właściwie trzy. Pierwszy to właśnie relatywizacja, rozmywanie prawd i wymagań wiary. Drugi to absolutyzowanie tego, co nie jest absolutne. A trzeci, najbardziej istotny, który w pewien sposób łączy dwa poprzednie, to problem tego, jak rozeznaczyć, co w życiu Kościoła jest niezmiennie, a co może, a nawet powinno się zmieniać.

W kwestii relatywizacji istnieje pewien paradoks. Często bowiem relatywizm współczesnego świata jest w gruncie rzeczy pozorny. To prawda, że relatywizowane są poglądy, zachowania czy działania, które dotychczas w cywilizacji chrześcijańskiej uchodziły za pewniki, przede wszystkim rozumienie płci, małżeństwa, rodziny. Ale dzieje się to nie w imię relatywizmu, który konsekwentnie twierdziłby, iż wartości oraz normy i oceny ich dotyczące mają charakter względny, zależny od podmiotu poznającego. Dzieje się to w imię nowych doktryn, które są głoszone w sposób nieznoszący sprzeciwu. Wystarczy wspomnieć o ideologii LGBTQ, ideologii gender, skrajnym feminizmie, aborcjonizmie. Zwolennicy tych doktryn nie podejmują nawet walki na argumenty, ale dążą do usunięcia oponentów, w tym Kościoła, z przestrzeni publicznej dyskusji. Czynią to oczywiście w imię tolerancji czy też pod maską walki z „mową nienawiści”. Stąd to, co nam zagraża dzisiaj, to nie tyle klasyczny relatywizm, ale tak zwany miękki albo postmodernistyczny totalitaryzm, który udaje umiłowanie wolności, a w gruncie rzeczy dąży do narzucenia jednego sposobu myślenia i działania.

Mentalna kolonizacja Kościoła i apostazja narodów

Kiedy mówimy: „Europa”, myślimy zazwyczaj również: „chrześcijaństwo”. Kiedy ludzie odmiennych kultur patrzą na Europę, zwracają uwagę na kulturę chrześcijańską. Chociaż bowiem Zbawiciel narodził się w Palestynie, dojrzała postać cywilizacji chrześcijańskiej wykształciła się na naszym kontynencie. Od dość dawna jednak ten obraz chrześcijańskiej Europy nie jest tak całkowicie prawdziwy. Ostatnio zaś – coraz mniej. Epoka nowoczesna bardzo zmieniła naszą kulturę. A jednak spojrzenie z dalszej perspektywy wciąż pozwala światu widzieć wszystkie te przemiany jako wewnętrzne perturbacje kultury chrześcijańskiej. My natomiast patrząc od wewnątrz, widzimy, że w zachodniej Europie katolików jest coraz mniej, co nie znaczy, że nie ma Kościołów, które w swojej mniejszościowej roli wciąż są żywotne, jak na przykład Kościół we Francji. Trudniej dziś pokazać w Europie Zachodniej choć jeden kraj po prostu katolicki – zapewne poza Włochami. Więcej ich jest na Wschodzie. Poza Polską byłyby to

na pewno Słowacja czy Chorwacja. Naprawdę jednak niełatwo jest wskazać państwo, które przyznawałoby się wprost do wiary i tradycji katolickiej lub choć do ogólnej pojętego dziedzictwa chrześcijańskiego. Może w pewnym stopniu jest tak z Węgrami. Natomiast *invocatio Dei* w konstytucjach Irlandii czy Niemiec nie mają dziś praktycznego znaczenia. To duża różnica względem stosunkowo niedawnej przeszłości.

Na naszych oczach dokonana się apostazja narodowa Irlandii, czyli kraju do niedawna sztandarowo katolickiego. Irlandczycy zaakceptowali w swoim państwie aborcję oraz zalegalizowali związki homoseksualne i dalej dążą w stronę obyczajowego „unowocześnienia” swojego państwa. Ktoś mógłby powiedzieć, że to tylko dziejowy moment słabości. Każdy jednak, kto miał okazję rozmawiać z ludźmi zamieszkującymi w tym kraju, wie, że chrześcijańskie dziedzictwo odczuwa się tam głównie jako balast. Kościół i katolickość to ograniczenia dla wejścia w nowoczesność, którą definiuje się poprzez radykalnie liberalne modele społeczeństw Wielkiej Brytanii i Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych czy też po prostu anglojęzycznej kultury masowej. Co to oznacza? Że Irlandczycy, jak się zdaje – ni mniej, ni więcej – przestali rozumieć, czym jest chrześcijaństwo. Przestało ono być ich życiem, wiarą, kulturą, wreszcie – po prostu – serio traktowanym elementem rzeczywistości – oglądem świata.

38 Tyle można powiedzieć o Irlandii, a przecież w innych krajach europejskiego Zachodu sytuacja Kościoła, i w ogóle chrześcijaństwa, jest wcale nie lepsza, ponieważ w wielu miejscach w ogóle zanika jego nawet powierzchowny kulturowy wymiar.

Do tego dochodzi jeszcze jedno zjawisko charakterystyczne dla Europy, a szerzej – dla całego Zachodu. Gdy posłucha się tego, co zwy-

kle mają do powiedzenia reprezentatywni hierarchowie kościelni głównych krajów europejskich, zwykle brzmi to tak bezbarwnie, jak przemówienia mainstreamowych polityków liberalnych i lewicowych. Jediną różnicą jest dodawanie elementów tradycji religijnej – do twierdzeń nieraz bardzo odległych od chrześcijańskiej prawowierności. Na tym tle głosy reprezentantów Kościołów afrykańskich czy azjatyckich – takich jak pochodzący z Gwinei kardynał Robert Sarah, arcybiskup Malcolm Ranjith ze Sri Lanki czy zmarły wietnamski Sługa Boży kardynał Văn Thuận – brzmią nie tylko osobistą mocną wiarą, lecz także mocą Kościoła Apostołów i męczenników.

Czy zatem w ogóle można jeszcze mówić o Kościele katolickim jako o wspólnocie kształtującej życie Europejczyków? To pytanie jest, rzecz jasna, na wyrost, ponieważ wciąż na naszym kontynencie żyje wielu wierzących ludzi. A jednak jest również wiele oznak, że są to już wysepki na morzu niewiary.

O tych procesach i wierze w Europie rozmawiamy z **Grzegorzem Górnym**, publicystą, reżyserem, w latach 90. założycielem kwartalnika „Fronda”, czyli jednego z wówczas najważniejszych polskich pism kulturalnych.

Pisał Pan niejednokrotnie o kolonizacji mentalnej Kościoła, szczególnie na Zachodzie. Jak należy rozumieć to określenie?

Grzegorz Górny: Chodzi o to, że katolicy z tego regionu świata myślą o sobie i swojej wierze w kategoriach obcych chrześcijaństwu. Widać to w przenoszeniu pojęć politycznych na rzeczywistość Kościoła, jako elemencie samoświadomości chrześcijan. Mam na myśli sytuacje, gdy się mówi o „skrzydle konserwatywnym” czy „frakcji liberalnej” w Kościele, albo o tym, że gdy prze-

Kapitulacja przed muzułmanami.

Czy Zachód będzie islamski?

Wśród punktów zapalnych kryzysu Kościoła nie sposób pominąć relacji ze światem islamskim. Szczególnie, że islam jest coraz to większą siłą także na Zachodzie, który kapituluje przed nim w obszarze zarówno demograficznym, jak i religijnym. Wypatrywać tylko można eksplozji islamu politycznego w Europie, który dziś pośrednio wspiera lewica dążąca do realizacji swojego planu wymiany ludności naszego kontynentu z chrześcijańskiej (lub postchrześcijańskiej) na napływową, wykorzenioną. Plan ten jednak jest błędny nawet we własnych zasadach, ponieważ wielu muzułmanów nie wykorzenia się trwale, ale w trzecim lub czwartym pokoleniu po imigracji wręcz się radykalizuje. A zatem zwraca się przeciwko wszystkiemu, co zachodnie. Także wielu „świeżych” imigrantów z krajów arabskich wcale nie chce przyjmować norm liberalnego społeczeństwa z jego oznakami moralnego zepsucia.

A jak zachowuje się wobec społeczności muzułmańskiej Kościół? Czy nie przejawia braku wiary we własne przymierze z Bogiem, gdy wykazuje uległość wobec islamu – podobnie jak świeckie społeczeństwo – na każdym właściwie możliwym polu?

O tym rozmawiamy z **Pawłem Lisickim**, publicystą, redaktorem naczelnym Tygodnika „Do Rzeczy”, autorem wielu książek, w tym także *Dżihadu i samozagłady Zachodu*.

Co Pan sądzi o gestach Papieża Franciszka wobec muzułmanów? Mam na myśli choćby jego odwiedzin w meczetach, szczególnie podczas pielgrzymki do Turcji. Papież wtedy mówił w Błękitnym Meczecie, że trzeba „wielbić Boga”.

Paweł Lisicki: Jak chrześcijanin może czcić Boga, który przekazał swe objawienie Mahometowi? Papież publicznie, na oczach całego świata, oddał chwałę Allahowi, będącemu natchnieniem dla setek, a może tysięcy fanatycznych wyznawców, którzy dzień w dzień i noc w noc zabijają, prześladują, biją, wypędzają, palą i torturują ludzi.

To, co Pan mówi, wydaje się jednak przerysowane. To, że Papież podczas wizyty w meczecie powiedział o „wielbieniu Boga” nie oznacza, że chodzi mu o wielbienie Allaha i jego proroka...

62 **P. L. :** Zróbmy zatem mały eksperyment myślowy. Postawmy się w sytuacji tych wszystkich chrześcijan, którzy są prześladowani ze względu na imię Chrystusa. Pomyślmy, co musieliby czuć, gdyby do nich dotarła informacja, że ten, którego Opatrzność uczyniła ich duchowym zwierzchnikiem, oddał cześć Bogu w stambulskim meczecie. Jak zareagowaliby na słowa Papieża

Hybrydowa inwazja.

Podmiana pobożności – katolickiej na zielonoświątkową

Czy dzisiaj idąc do kościoła lub na spotkanie wspólnoty modlitewnej, możemy być spokojni, że to, co będzie się tam działo, i to, co zostanie tam podane, jest rzeczywiście nauką głoszoną przez Kościół? Czy możemy być pewni, że to, co zostanie nam zaproponowane na jakichś popularnych rekolekcjach lub nawet podczas spowiedzi, jest zawsze katolickie? Odpowiedź na te pytania nie jest zadowalająca. Nasze kościoły i duszpasterstwa są coraz częściej jak puste pola do zagospodarowania przez tego, kto zaproponuje jakiś atrakcyjny scenariusz i zagwarantuje organizację. Czasami w to puste miejsce przychodzi wartościowa propozycja – ale równie dobrze może to być coś zupełnie niekatolickiego, byle zręcznie posługiwało się cytatami z Ewangelii i szokowało emocjonalnym przesłaniem. Z łatwością oddajemy swoje serca energicznym liderom, którzy obiecują duchowe odrodzenie i doczesną pomyślność, udział w czymś wielkim i wstrząsającym. To samo robią często nasi księża, zwłaszcza gdy brak im własnej

energii i rozeznania. Od czasu do czasu pojawia się jeszcze ostrzeżenie przed podstępным działaniem sekt. Jednak prawdziwe pole zmagania przeniosło się od dawna do wnętrza instytucji czy wspólnot kościelnych: albowiem dawna sekciarska agitacja przeciw Kościołowi to obecnie margines (przynajmniej w Polsce) – a prawdziwym problemem jest obca katolicyzmowi duchowość, która bez otwartego atakowania naszej tradycji zastępuje ją stopniowo zupełnie innym pojmowaniem chrześcijaństwa. Aktywiści nowej religijności nie namawiają nas do opuszczenia Kościoła i nie atakują papieża – natomiast namawiają nas do tego, byśmy razem z nimi zmieniali Kościół. Aż zmienimy go według ich planów. Krótko mówiąc: nikt nie ogłosił oficjalnie wojny, lecz od dawna toczy się ona jako ukryta, hybrydowa inwazja.

Kiedyś nazywano to protestantyzacją. Oddziaływanie głównych odłamów protestantyzmu na katolicyzm jest dziś jednak znikome. Problem, który nas dotyczy, przychodzi ze świata protestanckiego, ale jest to problem również dla samych protestantów z tradycyjnych wspólnot reformacyjnych.

Czym zatem jest ta nowa religijność, która wciska się w miejsce Ewangelii Kościoła i pobożności katolickiej? Nasz ekspert, **Ksiądz Andrzej Kobyliński**, etyk z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, zajmuje się tym zagadnieniem od lat, jest obecnie głównym autorytetem, który ostrzega przed „pentekostalizacją” chrześcijaństwa i katolicyzmu. Sprawa wymaga wyjaśnienia.

Od kilku lat ostrzega Ksiądz przed wchodzeniem do Kościoła „nowej religijności”, która zastępuje tradycyjny katolicyzm formami należącymi do kultury protestanckiej (a dokładnie: zielonościwkowej). Skąd zainteresowanie tą kwestią?

Zbawić czy zabawić?

Gdy liturgia staje się show

Czy los Kościoła zależy od tego w jaki sposób odprawiana jest w nim Msza święta? Czy jeśli jest odprawiana byle jak lub jeśli jest to obojętne dla wiernych, nasza wiara jest narażona na szkodę?

Takie pytania stawia sobie Kościół od dawien dawna, ale szczególnie mocno – od ponad stu lat, czyli od początku wieku XX. Począwszy od Świętego Piusa X kolejni papieże, w różnych okolicznościach, odpowiadali na nie twierdząco: tak, od tego, jak poważnie i godnie sprawowana jest liturgia, jak gorliwie się w niej uczestniczy, zależy też stan wiary. Liturgia jest najważniejszą i najpowszechniejszą szkołą wiary. Mocno podkreślił to Sobór Watykański II.

Czy w takim razie nasza wiara ma dziś dobrą szkołę w liturgii? Chyba największym problemem jest ogromna dowolność i związane z nią wrażenie, że z liturgią można robić różne rzeczy, jeśli tylko ma się jakiś pomysł na jej wykorzystanie lub „uatrakcyjnienie”.

W Polsce dominuje raczej pewna przeciętna parafialna, ale na jej tle też widać rozmaite nadużycia, wynikające zwykle z wyobrażenia, że dobrze posłużą modlitwie liturgicznej tańce, występy hiphopowe i tym podobne. W niektórych innych krajach europejskich proces desakralizacji liturgii, czyli usuwania z niej ducha świętości, poszedł już znacznie dalej. To, co anormalne, niejednokrotnie stało się już „normą” dla wiernych skazanych na inwencję poszczególnych księży i „ekip liturgicznych”. Oto pochodzący z Niemiec roku 1997 przykład opisany w świadectwie Roberta Spaemanna, wybitnego filozofa, współpracownika Jana Pawła II i Benedykta XVI: „Pewnej niedzieli nie mogłem uczestniczyć we mszy w ciągu dnia, i musiałem udać się do sąsiedniej parafii, w której odprawia się mszę wieczorem. Liturgię słowa odprawiała pewna pani, sama jedna – i to od początku mszy aż do początku ofiarowania: ewangelia, kazanie, «Pan z wami» itd. Robiła wszystko! Kapłan – młodzietki ksiądz – cały czas siedział. Potem odmówił kanon, nie korzystając z żadnej zatwierdzonej księgi. W miejsce «Oto Baranek Boży» powiedział: «Zobaczcie ten chleb i zobaczcie w tym chlebie Ciało Chrystusa». Wszystko było wymyślone! Nie czułem się w żaden sposób zobowiązany do pozostania na takiej mszy, ale zapragnąłem zaczekać do końca, żeby zobaczyć, co się stanie. No ale nic się nie stało: żaden wierny nie zaprotestował. Oto w czym cały problem. To dlatego sprawy mają się zupełnie inaczej niż w XVIII wieku. Wtedy, w okresie Oświecenia, reformy mające miejsce w Niemczech spotkały się z wielką wrogością wśród ludu, który nie zgadzał się na wszystko, jak teraz. Dzisiaj nic takiego się nie dzieje. Media, telewizja – wychowały ludzi do pasywności”.

Świadectwo Spaemanna wskazuje na zasadniczy problem obecnego kryzysu liturgii: jest on zwyczajem obojętności, braku zaintere-

sowania tym, co święte – gotowością zaś, żeby uczestniczyć w przemianie liturgii w „coś ciekawszego”. Jest to w istocie kryzys wiary. Zresztą, zgodnie z zasadą podaną na początku, kryzys wiary i kryzys liturgii są ze sobą ściśle związane: ludzie zaniedbują liturgię, gdy słabną w wierze – ale i odwrotnie: tracą szkołę wiary, gdy liturgie stają się ludzkim *show*.

Znakomicie zdawał sobie z tego sprawę kardynał Joseph Ratzinger / Papiież Benedykt XVI, o czym świadczy wiele jego wystąpień, z książką *Duch liturgii* na czele. Pod jego opieką i inspiracją zaczął się rozwijać w Kościele nurt „nowego ruchu liturgicznego”, wyrażający się w odkrywaniu duchowych bogactw tradycji liturgicznej, w tym i możliwości celebrowania dawniejszej liturgii „trydenckiej”. W przekonaniu niektórych komentatorów jest to najważniejszy posiew tamtego pontyfikatu.

O znaczeniu liturgii w życiu chrześcijańskim i o tym, co psuje świętą liturgię, rozmawiamy z **Księdzem Maciejem Zacharą**, marianinem, liturgistą, autorem publikacji naukowych i blogerem.

Niedawno ktoś opowiadał mi, że lubi chodzić do pewnego kościoła zakonnego, bo tam i śpiewają, i kadzą w czasie mszy. Opowiedział o tym swojemu księdzu z parafii, a ten mu odpowiedział: „O tak, tam jest bardzo ładnie”. Mój rozmówca zapytał więc: „Czemu tak nie jest u nas w parafii?”. Ksiądz rozłożył ręce w geście, jakby sam nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Ks. Maciej Zachara: Oczywiście trudno mi się wypowiadać w imieniu tamtego nieznanego mi księdza. Ale myślę, że w takich przypadkach najczęściej mamy do czynienia z dwiema postawami. Pierwsza to zwykle lenistwo, często maskowane różnymi pseudopobożnymi czy nawet pseudoteologicz-

Milczenie o wychowaniu.

Czy Kościół przegrał edukację?

Jakie znaczenie dla opisywanego tu kryzysu Kościoła ma aktualny stan edukacji? Zwykle ograniczamy się do pytań elementarnych: o religię w szkole lub o zabezpieczenie uczniów przed propagandą wywrotowych ideologii. Jednak to tylko wierzchołek góry lodowej – a prawdziwy problem znajduje się głębiej.

Tym prawdziwym problemem jest to, że Kościół praktycznie przestał się interesować głębszym wpływem na szkolną edukację dzieci i młodzieży. Walczy co najwyżej o katechezę, o jakieś formy swojej obecności w życiu szkolnym – ale nie ma pomysłu na całościowy program wychowawczy, na program edukacji wprowadzający w bogactwo cywilizacji chrześcijańskiej. Tam, gdzie Kościół ma lub wspiera szkoły, zwykle nie potrafi dziś inspirować lub chronić własnej twórczości programowej. Symbolem tej nieporadności są szkoły co prawda dobrze wyposażone, stawiające na wysoki poziom nauczania języków obcych czy informatyki lub chlubiące się dobrą atmosferą czy

nawet nabożeństwami na sali gimnastycznej – lecz niepotrafiące zaproponować własnego kanonu, niesamodzielne w proponowaniu lektur, wzorców, ideałów.

Nie widzimy tego problemu, nie zauważamy go jako pilnej sprawy – i to jest już sygnałem tego, na jak zaawansowany wygląda ten proces: nie wyobrażamy sobie, że szkoła mogłaby więcej pomóc rodzicom zabiegającym o chrześcijańskie wychowanie dzieci. Tymczasem Kościół – który kiedyś przypominał rodzicom o konieczności szukania szkoły lepszej i katolickiej – dzisiaj trzyma to swoje nauczanie w zamkniętych bibliotekach i okopuje się w granicach katechezy szkolnej na terenie szkoły, która powoli staje się coraz bardziej laicka.

Postanowiliśmy włączyć ten rzadko dyskutowany temat do naszej listy punktów kryzysowych: nieaktywność lub nieskuteczność Kościoła w kształtowaniu alternatywy edukacyjnej to kapitulacja. A dzieje się to wtedy, gdy toczy się twarda walka o to, czy religia będzie dla ludzi sprawą życia, sprawą kultury – czy tylko co najwyżej dziwnym „okienkiem” w świecie bez Boga.

Pytania o szkołę zadajemy **doktorowi Arturowi Góreckiemu**, wieloletniemu nauczycielowi i dyrektorowi szkół, ekspertowi edukacji katolickiej.

W dziejach naszej cywilizacji mieliśmy czas szkoły zarówno przychylniej religii, tworzonej przez Kościół, jak i traktowanej przez „oświeconych” jako narzędzie ich propagandy antyreligijnej. Czy istnieje coś takiego, jak szkoła neutralna względem religii?

Dr Artur Górecki: Przede wszystkim szkoła nie może być neutralna wobec prawdy. Czy jest możliwe poszukiwanie prawdy o rzeczywistości bez

Od „lawendowej mafii” do homoherezji.

Rewolucja przeciw katolickiej etyce płci

Dlaczego w obecnym kryzysie Kościoła tak często przewija się kwestia homoseksualności? Są dwa powody. Pierwszy jest oczywisty, widoczny na poziomie objawów: mamy eksplozję doniesień o kościelnych skandalach obyczajowych, które w przeważającej mierze mają podłoże lub elementy homoseksualne. Oficjalny raport przygotowany dla episkopatu Stanów Zjednoczonych (*The Nature and Scope of Sexual Abuse of Minors by Catholic Priests and Deacons in The United States 1950-2002*, red. John Jay, College of Criminal Justice, The University of New York, luty 2004) mówi, że w 81 procentach przypadków ofiarami nadużyć byli chłopcy, z czego ponad 50 procent było w wieku od 11. roku życia wzwyż. W grę wchodzi skłonności pedofilskie, lecz równoczesny homoseksualny charakter nadużyć wydaje się oczywisty.

Jest też jednak inna przyczyna, dlaczego podejmując sprawę kryzysu w Kościele, nie możemy uniknąć rozmowy o homoseksualizmie.

Coraz silniej bowiem dochodzą do głosu środowiska, które uważają, że musi się zmienić nauczanie katolickie w tej sprawie. Chociaż norma Objawienia, czyli Pismo Święte i Tradycja, jednoznacznie odrzucają aktywność homoseksualną jako grzech, do drzwi Kościoła puka natarczywie świat, w którym środowiska opiniotwórcze głoszą aprobatę dla aktów i relacji homoseksualnych. Ta presja posługuje się prośbą i groźbą: raz szantażuje wymaganiem miłosierdzia i tolerancji, innym razem próbuje zawstydzić przypomnieniem, że Kościół katolicki nie nadaża za dominującą opinią, nie jest nowoczesny i tym podobne. Presja działa o tyle, że podobne argumenty są powtarzane także wewnątrz wspólnoty Kościoła, czasami na wysokich szczeblach hierarchii.

Fakt, że tak wiele skandali ma charakter homoseksualny, oraz fakt rosnącej uległości ludzi Kościoła wobec wymagań lobby homoseksualnego – obie te rzeczy zbiegają się czasowo i problemowo, tak że ludzie pytają dziś czasami o przejmowanie władzy w Kościele przez homoseksualną mafię. Czy są to niepokoje przesadne? Dopóki mówimy o wpływach „lawendowej mafii”, o wzajemnym popieraniu się i chronieniu ludzi prowadzących podwójne życie, jesteśmy skazani głównie na domysły i błędzenie w ich cieniu. Czymś o wiele bardziej obiektywnym i groźniejszym w dłuższej perspektywie są jednak próby wytworzenia wewnątrz Kościoła akceptacji dla „orientacji” homoseksualnej. Tak radykalna zmiana w katolickim nauczaniu moralnym nie mogłaby być niczym innym niż herezją – zaprzeczeniem tego, co Kościół uważa od początku i bez przerwy za naukę otrzymaną od Boga. W ciągu wieków herezje bywały skutkiem pomyłek w myśleniu o prawdach wiary. Natomiast to, o czym teraz mówimy, jest herezją wyrastającą wprost ze sposobu życia: aby uza-

sadnić i usprawiedliwić sposób życia sprzeczny z nauką moralną Kościoła, próbuje się zmienić tę naukę.

Czy naprawdę zagraża nam homoherecja? Rozmawiamy o tym z **Tomaszem Terlikowskim**, jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich publicystów, zawsze mocno obecnym w debacie o trudnych sprawach Kościoła. W roku 2012 Terlikowski w odważnej książkowej rozmowie z księdzem Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim (*Chodzi mi tylko o prawdę*) jako pierwszy postawił otwarcie sprawę istnienia homolobby także w Kościele nad Wisłą.

Temat homoherecji podejmował Pan wielokrotnie w swojej publicystyce. Czym ona właściwie jest?

Tomasz Terlikowski: To zestaw poglądów, które rozmywiają katolickie podejście do ludzkiej seksualności. W biblijnej Księdze Rodzaju mamy naukę o tym, że męskość i kobiecość się dopełniają, a znajduje to swój wyraz w małżeństwie, związku mężczyzny i kobiety. Tymczasem zwolennicy homoherecji na różne sposoby sugerują, że nie jest to pełnia i powinna być uzupełniona o drogę homoseksualną. W konsekwencji postuluje się wprowadzenie małżeństw i akceptację związków jednopłciowych oraz zgodę na adopcję przez nie dzieci.

To jednak nie wszystko. Homoherecja chce dać możliwość udzielania święceń kapłańskich osobom homoseksualnym. Tradycyjnie myślący katolicy uznają, że nie jest to możliwe, homoseksualizm uderza bowiem w tożsamość kandydata do kapłaństwa, a tym samym uniemożliwia mu ważne przyjęcie święceń kapłańskich. Nie jest on także, o czym przypominał Benedykt XVI, zdolny do świadomego przeżywania celibatu. Ten jest dobrowolną rezygnacją z małżeństwa przeżywanego jako wartość. Dla osoby homoseksualnej rezygnacja

Turbopapiestwo.

Czy Papież może wszystko?

Gdy mówi się o kryzysie w Kościele, w sposób naturalny i szczególnie dotyka to najwyższego autorytetu – papieża. Zwykle oznacza to pytanie, co mógłby zrobić papież dla opanowania kryzysu. Przypomnijmy, że właśnie takie pytanie uznawano za kluczowe po abdykacji Benedykta XVI i z myślą o jego następcy, kiedy miał być wybrany: co jest najpilniejszym zadaniem papieża w sytuacji kryzysu?

Mówiono wtedy głównie o twardej ręce w sprawie nadużyć seksualnych duchowieństwa oraz o reformie Kurii Rzymskiej. Wcześniejsza diagnoza Benedykta XVI szła głębiej: problemem jest kryzys wiary, którą trzeba odbudowywać.

Trwa szósty rok pontyfikatu Franciszka. Tym, co udało mu się osiągnąć, jest polepszenie wizerunku papieża – media widzą go w cieplejszych barwach niż poprzednika. Ale objawy kryzysu nie ustąpiły, a raczej się zaostrzyły. Co więcej, wydaje się, że Kościół jest dzisiaj bardzo podzielony, jak nigdy od dawna – a powodem tego podziału

jest stosunek wierzących do działań Franciszka. Wielu katolików odnosi się do nich bardzo krytycznie. O ile na początku bezpośrednio oraz program „Kościoła ubogiego” budziły raczej entuzjazm, o tyle brak osiągnięć w radzeniu sobie z kryzysem, niekończąca się seria dwuznacznych „potknięć” w wypowiedziach publicznych oraz niejasne podejście do tradycyjnego nauczania o małżeństwie i rodzinie – wszystko to stopniowo zniechęcało do Franciszka kolejne grupy wiernych. Obecnie najbardziej krytyczne uwagi pod jego adresem wychodzą już nie ze strony tradycjonalistów, zrażonych do Papieża od dawna, lecz ze strony części dawnych bliskich współpracowników Świętego Jana Pawła II, zaangażowanych w jego nauczanie o cywilizacji życia. Przedmiotem sporów jest dziś również zaangażowanie Papieża w bezwarunkowe otwieranie granic dla imigrantów z krajów muzułmańskich, bagatelizowanie zjawiska terroryzmu islamskiego, a także niejasne stanowisko w sprawie możliwości udzielania Komunii świętej protestantom. Znaki zapytania wywołuje ponadto otwartość Papieża i jego otoczenia na postulaty środowisk homoseksualnych.

Wraz z upływem lat stawało się coraz bardziej jasne, że głównym problemem nie jest to, czego Papież nie robi, oraz braki w radzeniu sobie z sytuacjami kryzysowymi – lecz zamęt wchodzący w życie Kościoła wraz z jego różnymi słowami i przedsięwzięciami. Pojawia się więc coraz częściej pytanie o granice właściwe władzy papieskiej – zgodnie z dogmatem o prymacie Piotrowym. Czy Papież „może wszystko”? Czy katolicy mają przyjmować jako nauczanie następcy Świętego Piotra to, co Franciszek mówi na przykład do dziennikarzy na zaimprovizowanych konferencjach prasowych w samolocie? Czy do tego, aby coś zyskiwało szacunek i posłuszeństwo milionów

wiernych, wystarczy, że zostanie poleczone lub nawet tylko zasugerowane przez osobę pełniącą urząd Piotrowy? Czy Papież jest bardziej strażnikiem Depozytu wiary – czy przywódcą inspirującym wspólnotę do nowych poszukiwań?

Nie są to pytania i problemy zupełnie nowe. Każda porządna katolicka teologia zawiera na nie odpowiedź. Dzisiaj jednak trzeba te odpowiedzi przypominać i rozwijać w bardzo konkretnej sytuacji. W tych okolicznościach łatwo osunąć się bądź w całościowe dyskwalifikowanie pontyfikatu Franciszka, bądź w bronienie go za wszelką cenę. Tak to niestety wygląda: jedni stawiają pod znakiem zapytania to, czy Franciszek jest „prawdziwym papieżem”, inni są gotowi słuchać go, nawet gdyby kazał im wyrzec się całej tradycji Kościoła. Na przywódców dwóch przeciwnych obozów wyrastają ci, którzy są gotowi wypowiedzieć bardziej radykalne hasło „za” lub „przeciw” Franciszkowi. Jeśli proces ten będzie postępował, przyszłością Kościoła będzie jawna schizma.

Sprawy zaszły już na tyle daleko, że ich przemilczanie lub bagatelizowanie jest nieodpowiedzialnością, zostawia bieg spraw naciśkom demagogów. Spróbujmy więc powiedzieć sobie najpierw, co budzi niepokój.

Tę część naszej książki zaplanowaliśmy jako rozmowę między jej dwoma autorami: **Tomasz Rowiński** odpowiada na pytania zadawane przez **Pawła Milcarka**, który następnie podsumowuje rozmowę swoim komentarzem.

Paweł Milcarek: Czy uważasz, że coś jest nie tak z pontyfikatem Papieża Franciszka?

Kruszenie małżeństwa.

Czy grzech przestaje być grzechem?

Nauka o małżeństwie i rodzinie to ta część nauczania Kościoła, która znajduje się najbliżej codzienności zdecydowanej większości katolików, idących drogą powołania chrześcijańskiego w świecie. Nic dziwnego, że była swoistym oczkiem w głowie Świętego Jana Pawła II, który twierdził, że „człowiek jest drogą Kościoła”. Mało było zagadnień tak gruntownie i stale analizowanych, opracowywanych oraz podawanych w nauczaniu Ojca Świętego, jak te, które zyskały mu tytuł „Papieża rodziny”. Przez ćwierć wieku swego pontyfikatu Jan Paweł II nie pozostawił cienia wątpliwości co do tego, jak trzeba rozumieć razem z Kościołem „ewangelię życia” – zgodnie z Pismem i Tradycją, w wierności prawdzie o stworzeniu człowieka „mężczyzną i kobietą” oraz prawdzie o nierozwiązywalnym, monogamicznym małżeństwie mężczyzny i kobiety, współtworzących wspólnotę otwartą na życie.

Wraz z tym konsekwentnym nauczaniem „pokolenie JP2” otrzymało szczególnie jasną świadomość konieczności opierania się naciśkowi świata tam, gdzie głosi on swoją „antyewangelię”.

Równocześnie znane były także starania Papieża o pójście możliwie jak najdalej na spotkanie tych wiernych, którzy znaleźli się w sytuacjach jakby niewoli grzechu – na przykład przez życie w innych związkach po wcześniejszym zawarciu małżeństwa sakramentalnego. Jan Paweł II szukał rozwiązania, które nie tyle zalegalizuje tę „niewolę”, ile znajdzie w niej lukę i przez nią wyprowadzi ich do nawrócenia i pojednania z Chrystusem. W tym kontekście już w roku 1980 Papież zaproponował sposób otwarcia drogi do Komunii eucharystycznej dla rozwodników w nowych związkach – lecz „jedynie dla tych, którzy żałując, że naruszyli znak Przymierza i wierności Chrystusowi, są szczerze gotowi na taką formę życia, która nie stoi w sprzeczności z nierozzerwalnością małżeństwa”. Papież precyzował: „Oznacza to konkretnie, że gdy mężczyzna i kobieta, którzy dla ważnych powodów – jak na przykład wychowanie dzieci – nie mogą uczynić zadość obowiązkowi rozstania się, postanawiają żyć w pełnej wstrzeźliwości, czyli powstrzymać się od aktów, które przysługują jedynie małżonkom”.

Przez następne długie lata pontyfikatu Papież i jego współpracownicy wielokrotnie wyjaśniali, dlaczego tego duszpasterskiego wyjścia naprzeciw wiernym w „sytuacjach nieregularnych” nie można nigdy przekształcić w zwykłą zgodę na przystępowanie przez nich do Komunii bez spełnienia wymagań opisanych wyżej. Kontynuując tę trwałą linię postępowania Kościoła, Benedykt XVI przypominał, nazajutrz po odbyciu synodu o Eucharystii w roku 2005: „Synod Biskupów potwierdził praktykę Kościoła, opartą na Piśmie Świętym (por. Mk 10,2-12),

niedopuszczania do sakramentów osób rozwiedzionych, które zawarły nowe związki, ponieważ swoim stanem i sytuacją życiową obiektywnie zaprzeczają tej jedności w miłości pomiędzy Chrystusem i Kościołem, która wyraża się i realizuje w Eucharystii. Niemniej jednak osoby rozwiedzione, które zawarły ponowne związki, nadal – pomimo ich sytuacji – przynależą do Kościoła, który ze szczególną troską im towarzyszy w ich pragnieniu kultywowania, na tyle, na ile to jest możliwe, chrześcijańskiego stylu życia poprzez uczestnictwo we Mszy św., choć bez przyjmowania Komunii św., słuchanie Słowa Bożego, adorację eucharystyczną, modlitwę, uczestnictwo w życiu wspólnotowym, szczerą rozmowę z kapłanem czy ojcem duchownym, oddawanie się czynnej miłości, dziełom pokuty oraz zaangażowaniu w wychowanie dzieci”.

Wyrażając to stanowisko, zarówno Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI powoływali się na niezmiennie nauczanie i praktykę Kościoła katolickiego, świadczące o wierności nauce Chrystusa. Z tą świadomością i pewnością najwyższa władza pasterska oddalała wezwania – przychodzące zwłaszcza z Niemiec – do zmiany w tym punkcie. Była to jedna z tych kwestii, w których Papież miał okazję świadczyć, że jego władza polega na posłuszeństwie Słowu Bożemu; że wbrew wyobrażeniom osób domagających się, by Papież zrobił to czy owo, nie jest on władcą absolutnym i są kwestie, w których jego odpowiedzią nie jest „chcę” lub „nie chcę”, lecz: „nie możemy”, *non possumus*.

Sytuacja zaczęła jednak nagle się zmieniać niedługo po wyborze Papieża Franciszka. Dzisiaj jesteśmy po dwóch synodach biskupów poświęconych zagadnieniu małżeństwa i rodziny, po wydaniu przez Franciszka adhortacji *Amoris laetitia* i wynikłej stąd dyskusji świadczącej o istniejącym zamęcie, także po przekazaniu przez biskupów róż-

nych krajów mocno rozbieżnych instrukcji dotyczących stosowania tejże adhortacji, a wreszcie po dogłębnym przemodelowaniu urzędów i wydziałów papieskich zajmujących się sprawami rodziny. Biorąc pod uwagę to, co ujawniło się w wymienionych wydarzeniach, możemy być pewni, że stoimy obecnie na rozstaju dróg między dwoma zupełnie różnymi sposobami rozumienia nie tylko małżeństwa i rodziny, lecz także Ewangelii i chrześcijaństwa. Z woli Papieża będący na owym rozstaju dróg Kościół słucha teraz jako propozycji zarówno tego, co niedawno głosił Jan Paweł II i Benedykt XVI jako niezmienną naukę Kościoła, jak i tego, co w tamtym czasie głosili ich oponenti (na przykład kardynał Walter Kasper). Tezy tego ostatniego stały się na życzenie Franciszka podstawą dyskusji dotyczącej Komunii dla osób w powtórnych związkach (podobne postulaty przedstawiał już w czasach Jana Pawła II – i z woli tego ostatniego otrzymywał negatywne odpowiedzi przygotowane przez kardynała Josepha Ratzingera).

Na podstawie wielu słów i gestów Franciszka można zakładać, że jest on przychylny tezom tych autorów, którzy nie ukrywają swej głębokiej opozycji względem tradycyjnego nauczania moralnego Kościoła i opartej na nim dyscypliny. Ale to jeszcze nie przesądza o tym, na ile te osobiste przeświadczenia będą mogły przestawić naukę moralną Kościoła z torów długiej Tradycji wiary na tory nowych rozumień. Jest natomiast jasne, że znajdujemy się w momencie wielkiego wahania, ogarniającego najwyższe szczeble władzy w Kościele.

Co jest tak naprawdę przedmiotem tego wielkiego wahania? Na ile widzimy to wahanie również przez lekturę dokumentów Papieża Franciszka? O tym rozmawiamy z **Ojcem Jarosławem Kupczakiem**, dominikaninem, teologiem z Papieskiego Uniwersytetu Jana Pawła II w Krakowie.

Czas na radykalizm prawdy.

Co się dzieje z księżmi?

Dociera do nas coraz bardziej, że spada liczba kandydatów do seminariów oraz liczba księży. Kryzys powołań, który od dziesięcioleci dotyka szczególnie Kościół w Europie Zachodniej, zaczyna być odczuwalny i w Polsce. Chociaż liczba święceń kapłańskich w naszym kraju wciąż jest większa niż 500 rocznie, to jednak niektóre diecezje doświadczają wyraźnego spadku.

W odniesieniu do Kościoła na Zachodzie zjawisko potężnego spadku liczby duchowieństwa w okresie posoborowym jest opisywane jako rezultat czegoś większego: wynik słabnięcia wiary we wspólnotach katolickich i spadku zaangażowania wiernych. Niewątpliwie swoje znaczenie ma też to, że wraz z dechrystianizacją pozycja społeczna księdza zmieniła się bardzo na niekorzyść. Księżom jest dziś znacznie trudniej – zwłaszcza jeśli chcą być naprawdę księżmi.

Kryzys ma twarze konkretnych księży. Od czasu do czasu słyszymy o życiowym załamaniu któregoś z nich, o manifestacyjnym porzuce-

niu stanu duchownego – jest to chętnie nagłaśniane w mediach. Powody są różnorakie. Zwykle – jak to się mówi – życiowe. Końcowy dramatyczny akt podsumowuje dłuższy proces słabnięcia więzi księdza czy osoby zakonnej z jej drogą powołania. Nie zawsze jest to utrata wiary, czasem to grzech, za który dojrzały człowiek bierze odpowiedzialność.

Dziś jednak wydaje się, że mamy do czynienia z kryzysem kapłaństwa o znamionach całościowych. To kryzys tożsamości, kryzys moralny i kryzys wiary.

Od lat 90. mamy coraz ostrzejszą świadomość kryzysu moralnego, którego przejawem są kolejne fale doniesień o nadużyciach seksualnych w wykonaniu wielu księży z różnych stron świata. Począwszy od pierwszych głośnych procesów księży pedofilów w USA (takich jak John J. Geoghan), sytuacja nie polepsza się. Nie wszystkie oskarżenia były prawdziwe, ale liczba tych w pełni uzasadnionych i tak jest przygniatająca. Nie ma się co dziwić, że w tej atmosferze powstają filmy, powieści, spektakle i tym podobne – o różnym stopniu rzetelności i wartości – o wymowie gwałtownie antyklerykalnej.

Kryzys wywołany nadużyciami moralnymi zatacza coraz szersze kręgi. Czy nie większy jednak i nie wcześniejszy jest kryzys tożsamości? Polega on na niepewności, kim się jest, kim się być powinno, kim się jest dla innych ludzi. Ten kryzys tożsamości kapłańskiej daje się zauważyć w codzienności: coraz rzadziej można odróżnić i rozpoznać księdza na ulicy. Można by odnieść wrażenie, że księża się ukrywają, nie chcą się odróżniać od świeckich. Tak jakby ich nie było w naszym społeczeństwie. Jeszcze w latach 80. widok sutanny czy habitu – lub chociaż koloratki – na ulicach Warszawy nie dziwił, a dziś się go właściwie nie spotyka i nikt się go nie spodziewa. Można mieć

wrażenie, że w tej nieobecności jest jakiś rodzaj zawstydzenia tym, kim się jest, albo pytanie, czy to, w co się zaangażowałem, ma sens. Tak jakby księża zdejmowali sutannę niczym robotnik zdejmujący kombinezon, w którym wykonywał brudzącą pracę. Pracę przeważnie się wykonuje, a wraca się do „swojego życia”. Czy kapłaństwo to zawód? Czy ono stygmatyzuje? Być może więc z kryzysem tożsamości łączy się także kryzys wiary księży? Niekoniecznie w takim znaczeniu, że księża stali się ludźmi słabo wierzącymi lub wprost ateistami. Może po prostu nie otrzymują już wystarczająco sycącego duchowo i intelektualnie pokarmu, wzoru formy życia, która jest jednoznaczna i nie rozmywa fundamentów wiary? Przecież nie zawsze kapłani wnoszą w swoje religijne powołanie dobrą formację, otrzymaną na przykład w rodzinie, wręcz są to coraz rzadsze przypadki.

O wszystkich tych problemach chcieliśmy porozmawiać z **Księdzem Jarosławem Tomaszewskim**, duszpasterzem parafialnym i wykładowcą uniwersyteckim. Nasz rozmówca ma doświadczenie w pracy kapłańskiej w Polsce, Irlandii i Urugwaju, gdzie posługuje od kilku lat. Kościół w Urugwaju to Kościół ubogi, nieliczny, niechętnie traktowany przez władze o utrwalonej tradycji antyklerykalnej. Ksiądz Jarosław praktykę duszpasterską łączy z dogłębną znajomością myśli kardynała bł. Johna Henry’ego Newmana, jednego z klasyków duchowości.

Czy obecna fala odkryć dotyczących nadużyć seksualnych księży mówi nam coś o dzisiejszym stanie kapłaństwa?

Ks. Jarosław Tomaszewski: Z dużym dystansem odnoszę się do wszelkich prób metaforycznego podsumowania doniesień o koszmarnych nad-

Płycizna, bezguście i zarozumiałość.

Czas kiepskich?

A może obecny kryzys Kościoła to nie tylko siła fałszywych idei, rozmywanie prawdziwej doktryny, wielkie moralne upadki niektórych, rozłam rozumu i wiary, zaniedbania pasterzy – lecz także zwyczajne pobłażanie dla nieuctwa, buractwa, chamstwa? Może Kościół też stał się ofiarą „buntu mas”, nie potrafi być już mecenasem dla kultury podnoszącej poziom życia codziennego? Pod pozorem rzekomej prostoty ewangelicznej wprowadził do swego życia „demokratyczną” niechęć do wszystkiego, co wymagające, wyższe, trudniejsze?

Jeśli w tych pytaniach jest słuszna intuicja, oznacza to, że w inny sposób wróciło doświadczenie, które już kiedyś Kościół przechodził wraz ze światem upadającego starożytnego Rzymu – gdy trzeba było znaleźć miejsce dla barbarzyńców. Jednak różnice są znaczne: barbarzyńcami stają się dzisiaj społeczeństwa starej Europy, ludzie, którzy powinni być dziedzicami bogactw kultury chrześcijańskiej;

w kościołach zaś ci nowi barbarzyńcy już prawie nie spotykają wychowawców, którzy byliby mędrkami i świadkami kanonu tradycji chrześcijańskiej.

Brakuje kryteriów i wzorów – tych działających w codzienności parafialnej i diecezjalnej. Gusta i ambicje barbarzyńców niemal nie napotykały oporu, lecz stopniowo ustanawiają swe „normy” – w zachowaniach, w myśleniu, w modlitwie, w architekturze czy wystroju kościołów i tak dalej.

Czy to wszystko dzieje się dlatego, że zwykli wierni stali się już niezdolni do docenienia czegoś, co przekraczałoby ich nawyki i skojarzenia? A może raczej nie ma odwagi proponowania im alternatywy, stawiania wyżej poprzeczki?

Wśród tekstów podsumowujących tragedię Kościoła w Irlandii były i takie, w których zwracano uwagę na dziwny fenomen: jak to było możliwe, że naród chlubiący się swym katolicyzmem i rzeczywiście przez wieki broniący go mimo prześladowań, uzyskawszy w końcu swobodę, w ogóle nie zdobył się na nic więcej poza rozwianiem instytucji kościelnych; wspólnota gorliwego Kościoła nie wykrzesła z siebie przez długie dziesięciolecia ani natchnionej sztuki religijnej, ani zwykłego piękna świątyń, ani wyższego poziomu inteligencji wiary. Dumni – jakże słusznie – ze swego katolicyzmu prostych wiernych, ludzie Kościoła w Irlandii zawierzyli jego losy idealnym, zdawało się, mechanizmom współpracy Kościoła i państwa.

222 Katolicki naród posiadał z woli twórców swego państwa instytucje publiczne skrojone rzeczywiście według jego wiary. Jednak równocześnie katolicyzm zamknął się w pewnej przeciętności i dał się sprowadzić do swoistego folkloru irlandzkości. Gdy przyszły dwie próby – nagłego wzbogacenia społeczeństwa i ukrywanych nadużyć sek-

sualnych duchowieństwa – okazało się, że irlandzka religia nie jest normą życia. W dość krótkim czasie słynny katolicki kraj wszedł na drogę katastrofy.

Lekcja irlandzka zawiera wiele różnych nauk. Ale jedną z nich jest na pewno przestroga, że „katolicyzm prostych ludzi” i unia religijno-patriotyczna zupełnie nie wystarczą, żeby wiara zachowywała swój dynamizm i konieczny nonkonformizm. Także wobec narodów katolickich Kościoł powinien pozostawać nauczycielem dróg wzwyż, a nie tylko wyrazicielem „ducha narodu”.

Wróćmy jednak do myśli z początku: chociaż prawdziwym cudem chrześcijaństwa bywa powaga wiary prostych ludzi, nie oznacza to na pewno, że cud ten powstaje, gdy Kościół przestaje uczyć, wymagać, wychowywać i kształtować gust.

O związanych z tym sprawach poziomu, stylu i obyczaju we wspólnocie Kościoła rozmawialiśmy z jednym z polskich księży diecezjalnych.

Skąd w Kościele biorą się, jak ktoś określił, płycizna, bezguście i zarozumiałość?

Ks. Jacek Hrabicz: Nie wiem, skąd się biorą. Może z gorliwości duszpasterskiej? Przy odchodzeniu ludzi od Kościoła – z pragnienia, żeby ich przyciągnąć za wszelką cenę?

Przykład z ostatniej chwili. Pewien znany twitterowo i sensowny ksiądz napisał: „Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek stał się bardziej ludzki”. Bzdura, ale wynikająca z dobrych intencji: zainteresować ludzi Bożym Narodzeniem. I wpis wzbudził zainteresowanie. A że nie da się teologii wcielenia i zbawienia ująć w takim wpisie? Że wychodzi z tego jakiś homocentryzm? Że może

Pejzaż z grzęzawiskami.

Czy ojczyzna Jana Pawła II jest bezpieczna?

Rozważane w tej książce problemy Kościoła powszechnego są też, w różnym stopniu, problemami Kościoła w Polsce. Jedne bardziej, inne w jakimś minimalnym stopniu. Na tle dechrystianizacji Europy Polska wygląda na najbardziej katolicki kraj kontynentu i w ogóle naszej strefy cywilizacyjnej. Jeśli jednak przestaniemy się porównywać z innymi w statystykach, pozostaną pytania o nasze własne „czarne chmury” nad Kościołem.

Czy Kościół w ojczyźnie Świętego Jana Pawła II jest bezpieczny? Czy pod powierzchnią uspokajającego sielankowego pejzażu nie rozwijają się jakieś procesy, które psują od środka życie kościelne?

Na te pytania próbowano odpowiadać wiele razy. Nawet już za pontyfikatu Papieża Polaka – lecz wtedy jego potężny opiekuńczy cień dawał uspokojenie i optymizm. Eksplozja niepokojów przyszła dopiero wraz ze śmiercią Jana Pawła II, z ujawnianiem kolejnych dokumentów o współpracy niektórych znanych duchownych z ko-

munistyczną SB, z doświadczalnym stwierdzeniem niskiej efektywności szkolnej katechezy i wraz ze zdaniem sobie sprawy z nieporadności duszpasterstwa parafialnego w nowych warunkach życia.

Przedmiotem wielu ostrych sporów było i jest to, czy Kościół we właściwy sposób uczestniczy w życiu publicznym Polski; na ile sam jest autorytetem moralnym i obrońcą praw Bożych – a na ile daje się wyciszyć, zneutralizować lub, dla odmiany, używać instrumentalnie przez wielkich graczy sceny politycznej.

O to, czy Kościół w Polsce potrzebuje alarmu – i w jakich dziedzinach – pytamy **Księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego**, jednego z najodważniejszych i najbardziej rozpoznawalnych uczestników polskiej debaty o niewygodnych sprawach Kościoła.

W lutym 2006 roku wystąpił Ksiądz do władz kościelnych z postulatami ujawnienia księży będących konfidentami komunistycznej Służby Bezpieczeństwa. Sprawa odbiła się szerokim echem, uruchomiła dyskusję, potem ukazała się Księdza książka *Księża wobec bezpieczeństwa*. Czy Ksiądz uważa dzisiaj, że sprawa ta rozwiązała się sama lub została rozwiązana? A może jakoś wpływa nadal na to, co dzieje się w Kościele w Polsce?

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski: W moim życiu to była najtrudniejsza sprawa. Wcześniej, gdy zajmowałem się jedynie osobami niepełnosprawnymi i duszpasterstwem wśród Ormian katolików, moja sytuacja w archidiecezji krakowskiej była klarowna, wszystko szło normalnym torem. Natomiast trzynaście lat temu, w październiku 2005 roku, niedługo po śmierci papieża Jana Pawła II, dowiedziałem się, że zachowały się w IPN-ie akta dotyczące mojej skromnej osoby. Długo wahałem się, czy w ogóle to ruszać, czy nie, bo panowała opinia, że są to mało wiarygodne strzępy. W ciągu piętnastu lat od

Pan zwycięży!

Dziedzictwo Benedykta XVI

Gdy po niespodziewanej rezygnacji Papież Benedykt XVI odbywał 14 lutego 2013 roku swoje ostatnie spotkanie z duchowieństwem Rzymu, zakończył je słowami nadziei na prawdziwą odnowę Kościoła, która przebije się nareszcie przez jej fałszywe wersje. Papież żegnał się słowami: „Ufajmy, że Pan nam pomoże. Ja, kiedy odejdę, moją modlitwą będę z wami zawsze i razem będziemy szli naprzód z Panem, mając pewność: Pan zwycięży!”.

Idziemy już blisko sześć lat, z nowym Papieżem Franciszkiem – lecz wciąż także z obiecaną obecnością Ojca Benedykta. Czy potrafimy korzystać z tego, co nam, Kościołowi, zostawił jako pasterz i teolog?

Rozmiar twórczości papieża-teologa doceniają wszyscy. Inną rzeczą jest traktowanie jej jako światła pomagającego znaleźć drogę również w obecnych ciemnościach. Ten, kto naprawdę docenia Benedykta XVI, będzie często wracał do jego słów, gdyż sposobem obecności właści-

wym temu papieżowi były nie gesty, nie władcze decyzje, lecz właśnie słowa. I ten sposób nie ustał.

O sile i aktualności dziedzictwa Benedykta XVI rozmawiamy z **Księdzem Jerzym Szymikiem**, teologiem i autorem trzypomowej *Theologia benedicta*, syntezy teologicznej myśli Josepha Ratzingera/Benedykta XVI.

Pontyfikat Benedykta XVI skończył się nagle i bardzo niezwykle: abdykacją. Są katolicy, którzy nie ukrywają, że mają mu za złe, „że nas opuścił” – bo tak bardzo potrzebna była jego trzeźwa myśl. Ale są też tacy, którzy mu gratulują – że abdykacją przyznał, iż to, co ma do powiedzenia, nie jest już potrzebne Kościołowi; że widocznie uznał, iż Kościół potrzebuje innych ludzi, innych idei...

Ks. Jerzy Szymik: Nie należę ani do jednych, ani do drugich. Pierwsi nie rozumieją, że wola Boża, wytrzymałość duchowo-psychiczno-fizyczna człowieka i parę innych czynników mogą być istotniejsze niż to, że „myśmy się spodziewali”. Rozumiem ich ból, ale namawiam do spojrzenia dalszego niż własne oczekiwania. Z drugimi nie zgadzam się na znacznie głębszym poziomie. I uważam, że to, co Benedykt XVI miał do powiedzenia, jest i będzie zawsze potrzebne Kościołowi. Dziś jeszcze bardziej niż 10 lat temu. A mam nadzieję, i sporo argumentów za, że zostanie w przyszłości doktorem Kościoła.

Jednym z najważniejszych pasm nauczania Benedykta XVI była konieczność wewnętrznego oczyszczenia Kościoła. Nie dostrzegaliśmy tego z wystarczającą ostrością. Wyrzucam to także sobie. Łatwiej mi było słyszeć jego profetyczne słowa przeciwko tygrysom czyhającym na Baranka, niż przeciwko moim własnym grzechom czy grzechom we wnętrzu Kościoła.

A patrząc szerzej: jego diagnoza świata i człowieka jest złożona i pełna.

Kościół rozdzierany sporem.

Zerwanie czy ciągłość?

Nad każdą dyskusją o aktualnym stanie Kościoła wisi od dziesięcioleci pytanie o Vaticanum II. Czy ostatni Sobór dał Kościołowi wizję kontynuacji, reform w prawdziwej wierności tradycji wiary – czy raczej był „nowym początkiem”, resetem, zerwaniem, przeskokiem do zupełnie innego Kościoła? Obie tezy miały swoich rzeczników. Wśród zwolenników tezy o „Soborze zerwania” jedni uważali, że to świadczy o odwadze i otwiera czas „nowej wiosny” Kościoła – za to inni przeciwnie, uznawali Sobór za moment zdrady, odstępstwa oraz źródło błędów, które prowadzą do rozmycia katolicyzmu.

Cokolwiek by powiedzieć o samym Soborze, jego krytycy mieli rację w tym, że złowrogą, niszczycielską rolę odegrało na skalę masową przyjęcie go jako przeciwieństwa dotychczas rozwijającego się Kościoła, tego „przedsoborowego”: katolicy odrywani od starej tradycji wiary i pobożności niekoniecznie docierali do odległych źródeł – o wiele częściej po prostu tracili orientację, zaufanie do Kościoła,

pewność wiary, gotowość praktykowania jej zwykłych wymagań. W tej dużej liczbie zdezorientowanych najliczniejsi w końcu odchodzili od wiary. Mniej liczni zostawali w swych parafiach, czasami przerywając swą gorliwość z dotychczasowych tradycyjnych ram – na entuzjazm dla „nowych orientacji”. Jeszcze inni – niewątpliwie mniejszość, lecz zauważalna – dołączyli do ruchu oporu przed zmianami, w imię Tradycji, a przeciw modernizmowi.

Z czasem Sobór rzeczywisty rozjechał się niemal całkowicie z Soborem wyobrażonym, czyli z tym, co nazywano „duchem Soboru”. Zarówno entuzjaści, jak i najgorętsi krytycy oddalili się od dokumentów soborowych. Od dawna polemiki między kościelnymi progresistami i konserwatystami odnoszą się do „Soboru” tylko w sposób hasłowy.

Ale spór o zerwanie (przez radykalne *aggiornamento*, czyli „dziesiejszanie”) i ciągłość (przez rozwój na drodze tradycji) pozostaje wciąż aktualny. Właściwe rozstrzygnięcie tej kwestii przekłada się szybko na to, jak wierzymy, jak się modlimy, jak chcemy żyć.

Czy w tej sprawie istnieje jakiś złoty środek? Nie chodzi o bezkształtne „centrum” – lecz o rzetelną odpowiedź poza skrajnościami i przesadą. Rozmawiamy o tym z **Ojcem Jackiem Salijem**, teologiem znanym z wyważonego sądu.

Powiedzmy, że ktoś chciałby się odnaleźć w sporach, które trwają w Kościele po Soborze Watykańskim II. I że chciałby otrzymać objaśnienie spokojne, rzeczowe, od kogoś dalekiego od emocjonalnej stronniczości. Od czego powinien zacząć?

O. Jacek Salij: Niezwykle ważne przemówienie na ten temat wygłosił Papież Benedykt XVI w roku 2005, podczas swojego bożonarodzeniowego

Zakończenie

Pozostać w prawdzie Chrystusa – taki tytuł nosiła głośna książka, którą w roku 2014 pięciu kardynałów i czterech uczonych zdecydowało się opublikować w odpowiedzi na pierwsze i jeszcze wtedy często lekceważone zapowiedzi zmian w katolickiej nauce o małżeństwie i Komunii Świętej. Gdy zastanowimy się, co wydarzyło się od tamtego czasu w tej i wielu innych dziedzinach życia Kościoła, jakiego zamieszania obecnie doświadczamy, na pewno te same słowa okażą się jeszcze bardziej aktualnym przesłaniem. Dla Kościoła bowiem nie ma większego kryzysu niż zakłócenie w wierności prawdzie Chrystusa – to ona jest warunkiem tego, że Kościół pozostanie matką i nauczycielką wierzących; że będzie nadal płodny i misyjny. Nie ma nic ważniejszego.

Kryzys, o którym powiedzieliśmy w tej książce, dotyka równocześnie wiary, instytucji kościelnej i cywilizacji chrześcijańskiej. Kryzys wiary zaczyna się wtedy, gdy przestajemy myśleć, że chrześcijaństwo jest drogą zbawienia i bramą życia wiecznego, religią prawdziwą

- i że podstawowym darem, który przychodzi do człowieka w Kościele, jest sam Bóg. Gdy tak już nie myślimy, zaczynamy szukać dla chrześcijaństwa innych, fałszywych uzasadnień i celów - aż staje się ono niczym więcej niż dobroczynnością, walką o sprawiedliwość społeczną i pokój, uczestnictwem w aktualnych lękach i marzeniach świata.

Kryzys instytucji Kościoła zaczyna się zawsze wtedy, gdy wraz ze stygnięciem wiary i wzrostem ambicji świeckich ludzie Kościoła zaczynają wierzyć, że trzeba go przemodelować według tego, jak organizuje się świat; że zależnie od tego, co w świecie jest akurat uznawane za właściwe i skuteczne, Kościół będzie przyjmował standardy zarządzania demokracji, dyktatury czy po prostu korporacji. Szukając takiej adaptacji, ludzie Kościoła zaczynają łączyć się do władców tego świata - kiedyś do królów, innym razem do establishmentów demokratycznych, central partyjnych, a ostatnio już głównie do „czwartej władzy” - mediów. To coraz bardziej uzależnia, blokuje wolność decyzji, uzasadnia bierność i konformizm. Z czasem podejmuje się już tylko takie decyzje, które będą dobrze przyjęte przez światowych patronów i mocodawców - tych zaś, które im nie pasują, po prostu się nie podejmuje.

Oba kryzysy - wiary i instytucji - są wzmacniane przez kryzys cywilizacji. Nawracając narody, Kościół stworzył cywilizację, w której wiare i moralność Ewangelii przyjmuje się jako normę, nawet gdy pozostaje ona przede wszystkim drogowskazem. Z czasem, wraz z podważaniem znaczenia wiary i nadprzyrodzoności, z cywilizacji tej pozostał pewien zespół norm etycznych dotyczących życia ludzi i społeczeństw w tym świecie - jakby dekalog zawężony do niektórych przykazań z jego drugiej tablicy. Jednak i to na naszych oczach

zostaje zakwestionowane – lub raczej przekręcone – gdy na przykład zamiast prawa do życia tworzy się „prawo” do aborcji, a z przykazania miłości wyprowadza się uzasadnienie dla legalizacji związków homoseksualnych. Jest to widomy znak tego, że w tym świecie, który kiedyś powstał jako cywilizacja chrześcijańska, dzisiaj Kościół jest często czymś niezrozumiałym i niechcianym. Trwająca od dawna „pełzająca apostazja” narodów Zachodu dochodzi dziś do etapu, w którym autorytety społeczne i polityczne sygnalizują Kościołowi, że będzie mógł funkcjonować jedynie wtedy, gdy da się „nawrócić” na te wartości liberalne, które Święty Jan Paweł II nazywał „cywilizacją śmierci”.

Na każdym z tych trzech odcinków daje o sobie znać to, że w obecnej wspólnocie wierzących mamy w rzeczywistości jakby dwa Kościoły w jednym: *Kościół źródeł* i *Kościół ducha czasu*. Ich spotkanie to coraz wyraźniej widoczne zderzenie dwóch światów. *Kościół ducha czasu* uznaje, że jest wierny sobie, gdy zdobywa ludzi, podchwytyjąc to, co w świecie dzisiaj uważa się za ważne i potrzebne. *Kościół źródeł* woli wydobywać swoją busolę z Objawienia i jego tradycji, bez obawy, że trwanie przy niewygodnych naukach zatrzyma go w dawnych czasach – gdyż prawda się nie zmienia.

Naszym zdaniem w tym starciu to *Kościół źródeł* pozostaje w prawdzie Chrystusa – mając odwagę iść za nią, „w porę i nie w porę”. Trzeba mieć tę odwagę zwłaszcza w dniach kryzysu. Odwagę zmieniania swojego myślenia i postępowania pod wpływem tego, co znajduje się w depozycie Wiary.

Jako aneks do zakończenia książki podajemy *Manifest wiary*, który ogłosił niedawno kardynał Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, uznając to za swoją odpowiedź na aktualny zamęt.

Tekst Kardynała jest niczym innym jak mozaiką zdań wyjętych z Katechizmu Kościoła Katolickiego. Uznajemy ten tekst za sztandar, pod który chcielibyśmy zaprosić naszych czytelników – by odczytali z niego wiarę Kościoła i się w niej odnaleźli.

Na każdym z trzech wymienionych odcinków – wiary, instytucji i cywilizacji – potrzeba nam dzisiaj pilnie ludzi gotowych *pozostać w prawdzie Chrystusa*. Nie można się spodziewać, że kryzysy same się zażegnają, lub uspokajać się, że może ktoś ważny ogłosi, że kryzysu nie ma, oraz zwolni nas z wysiłku i starania. Każdy z nas ma w tej sytuacji swój obowiązek, wynikający z przygotowania, miejsca życia, stanu – a nikt nie znajduje się w sytuacji, w której ten szczególny obowiązek wierności dzisiaj w ogóle go nie dotyczy.